

Kwestia ekologiczna i antropologiczna

7 kwietnia 2012

Z planetą Ziemią, czyli z naszym naturalnym habitatem, źle się dzieje, i to w alarmującym stopniu. Świadomość tego faktu jest szeroka i nie ma już formacji politycznej, która co najmniej w swoim dyskursie nie uwzględniałaby sprawy ekologicznej. Z planetą Człowiekiem, czyli rodzajem ludzkim, też źle się dzieje, i to w równie alarmującym stopniu. Nie ma jednak świadomości tego faktu na odpowiednim poziomie ani nie ma formacji politycznej, która na równi ze sprawą ekologiczną stawiałaby sprawę antropologiczną. Zastanowimy się tu nad tym zdumiewającym kontrastem.

Proszę zapytać osoby najmniej upolitycznione, co to jest sprawa ekologiczna. Z pewnością usłyszymy, że wskutek globalnego ocieplenia spowodowanego przez gazy cieplarniane nastąpiła era katastrof, że zanieczyszczenie ziemi, powietrza i wody w wielu miejscach osiągnęło nieznośny poziom, że wskutek wyczerpywania się podstawowych zasobów nieodnawialnych nasz obecny sposób produkcji i konsumpcji jest nie do utrzymania, że wykorzystanie energii jądrowej jest brzemienne w śmiertelne niebezpieczeństwa. Przynajmniej niektórzy dodadzą do tego zagrożenia dla bioróżnorodności i swoimi słowami stwierdzą na zakończenie, że istnieje pilna konieczność zmniejszenia piętna ekologicznego krajów bogatych.

Skąd wiedzą o tym wszystkim nawet najmniej upolitycznione osoby? Z mediów, w których stale obecna jest dziś informacja ekologiczna. Z obserwacji mnóstwa zjawisk, z którymi mają do czynienia – od pogody po ceny paliw. Z dyskursu uczonych czy polityków, którzy ujmują tę wiedzę cząstkową w ramy zglobalizowanej wizji i zamieniają ją we wszędzie widoczne programy polityczne. W ciągu dziesięcioleci ukształtowała się kultura zapewniająca spójność rozległych motywacji i

inicjatyw, które składają się na tę wielką sprawę – sprawę ekologiczną.

Proszę zapytać teraz o sprawę antropologiczną. Zapewne nikt nie zrozumie od razu, o czym chcecie z nim rozmawiać. Wyjaśnijmy to więc zadając następujące pytanie: czy uważasz, że z ludzkością dzieje się tak źle, jak z naszą planetą, że cywilizowany wymiar rodzaju ludzkiego jest w prawdziwym niebezpieczeństwie, do tego stopnia, że do palącej potrzeby ratowania przyrody – a zatem do sprawy ekologicznej – trzeba dodać równie ważną potrzebę ratowania ludzkości w jakościowym znaczeniu tego słowa – a zatem sprawę antropologiczną? Okaże się, że pytanie to zaskoczyło naszych rozmówców. Wiele osób dopatrzy się w nim co najmniej grubej przesady. Zapewne okaże się, że są powody do niepokoju – ciężkie warunki egzystencji, szerząca się postawy typu: każdy dla siebie, demoralizacja panosząca się w życiu publicznym, niepokoje o przyszłość... Ale żeby wynikało z tego, że nasza ludzkość jest tak samo w niebezpieczeństwie, jak nasza Ziemia? To już chyba duże przegięcie.

Zadajmy więc kolejne pytanie: czy pod wieloma względami nie idziemy drogą prowadzącą do świata, w którym nie sposób żyć po ludzku? Czy stara maksyma głosząca, że „człowiek jest człowiekowi wilkiem”, nie staje się prawem w zbyt wielu dziedzinach, w których obecne środki zapewniają jej bezprecedensową szkodliwość? Praca – to szczególnie wymowny przykład – stacza się po strasznie niepokojącej równi pochyłej. Coraz trudniej jest wykonać sprawiającą satysfakcję pracę wysokiej jakości, od pracowników najemnych wymaga się, aby byli odpowiedzialni, a jednocześnie to im się uniemożliwia, systematycznie zmusza się ich, aby z sobą konkurowali, rozmyślnie wykorzenia się ruch związkowy, każe się uczyć, jak „umiejętnie sprzedać samego siebie” i „być killerem”, przedsiębiorstwami zarządza się terrorem, a punktem końcowym tego wszystkiego są samobójstwa w miejscu pracy, wszędzie obowiązuje dyktat dwucyfrowej rentowności, premiuje

się nieustannie chciwość akcjonariusza, wszędzie panoszą się pracodawcy bez czci i wiary, a nawet pracodawcy-chuligana... Krótko mówiąc, panuje neoliberalne szaleństwo, szkodliwa forma późnego kapitalizmu. Czyż nie jesteśmy świadkami procesu prawdziwej dehumanizacji?

Usłyszemy w odpowiedzi, że wszyscy o tym wiedzą. Nie znają jedynie tego dziwnego terminu – sprawa antropologiczna. Czy gdzieś mamy do czynienia z niepokojącymi zjawiskami społecznymi, które nie wywołują alertów, nie skłaniają do badań, nie powodują podejmowania inicjatyw, które mają pozwolić na stawienie tym zjawiskom czoła? Tak jest również w przypadku dramatu pracy: czyż nie mówi się o nim w dobrych filmach, czyż nie wyjaśniają go tacy psychologowie, jak Marie Pezé czy Yves Clot [1], czyż z wielu stron nie apeluje się o odrzucenie dehumanizujących sposobów zarządzania? Narasta globalna świadomość nieznośnych szkód, które wyrządza rządzący nami zglobalizowany system. Siły polityczne skupione we francuskim Froncie Lewicowym wzywają do przewyciężenia kapitalizmu – tak, aby można było posunąć naprzód sprawę emancypacji ludzkości. Zieloni w duchu demokratycznym mocno wiążą ze sprawą ekologiczną cele społeczne i instytucjonalne. Wielu ekonomistów przeciwstawia prostackiemu kryterium w postaci produktu krajowego brutto oceny skuteczności uwzględniające odwrotną, ludzką stronę produktywistycznego medalu. Szerzą się ruchy społeczne na rzecz rehumanizacji świata. Czyż więc naprawdę sprawy antropologicznej od dawna się nie dostrzega, choć niekoniecznie tak się ją nazywa?

Nie, wcale jej się nie dostrzega. Przekonanie, że jest inaczej, świadczy o strasznym niedocenianiu tego, o jaki rząd wielkości tu chodzi.

Chodzi bowiem o to, że podobnie jak w przypadku ekologii, przyczyny cywilizacyjne związane są z czynnikiem politycznym, ale wykraczają poza jego ramy, gdyż stawką są głębsze niż w przypadku potocznie pojmowanych wyborów politycznych – wybory etyczne. Jeśli zapytujemy nie bez niepokoju, dokąd zmierza

rodzaj ludzki, to nie znaczy, że dyskwalifikujemy opozycję lewica/prawica – znaczy, że chcemy, aby opozycja ta odnosiła się do samego sensu naszej cywilizowanej przyszłości, a poważnie zdevaluowane słowa prawica i lewica do tego już nie bardzo się nadają. Jaką chcemy być ludzkością? Oto istota sprawy leżąca u podstaw sprawy antropologicznej. A tymczasem kwestia ta wcale nie jest przedmiotem takiej pracy myślowej i takich inicjatyw, jakich wymaga.

To na przykład, że produkcji dóbr i usług nie można już – jeśli nie chce się doprowadzić do katastrofy – pilotować bez najwyższej troski o produkcję osób, wymaga przemyślenia antropologii. Podobnie jak wiedza ekologiczna, wiedza antropologiczna powinna być prawdziwą wiedzą rządzącą słusznym działaniem. Tymczasem jest nam tak daleko do jej uzyskania, że gdy tylko wkraczamy w tę dziedzinę, od razu okazuje się, że panuje w niej mistyfikatorskie pojęcie „człowieka”. Jedno słowo, a przecież odnosi się ono do tak wielu różnych realiów: gatunku biologicznego Homo sapiens, historycznie rozwiniętego rodzaju ludzkiego, zbiorowości społecznej, jednostki osobowej, a ponadto byt ten w języku francuskim jest zarówno damski, jak i męski. Czy istnieje jakaś inna dziedzina wiedzy, która zadowalałaby się takim prymitywizmem pojęciowym? Tymczasem to słowne zamieszanie jest spowodowane niemal powszechnym użyciem, który czyni się ze słowa „człowiek”, nawet u nieustannie cytowanych autorów w rodzaju Nietzschego czy Heideggera, bo jedynym wielkim myślicielem współczesnym, który radykalnie zakwestionował tę niedobłą abstrakcję „człowieka” nie przypadkiem jest Marks.

Sprawę antropologiczną, równie palącą jak ekologiczna, za słabo sobie uświadamiamy, za mało o niej myślimy, a nawet jej nie nazywamy. To dramatyczna sytuacja. Na tego, kto to doświadcza, spada kluczowe zadanie: musi zaryzykować i zaproponować przynajmniej zarys głównych wątków, które byłyby w stanie ukształtować myśl o ludzkości w niebezpieczeństwie. To, co poniżej, to taka próba, naszkicowana trzy lata temu w

zakończeniu grubej książki.

Alarmujący poślizg cywilizacyjny, który od razu rzuca się w oczy, to powszechne utowarowienie tego, co ludzkie. Kapitalizm zaprowadził powszechne panowanie towaru – formy bardzo sprzyjającej sprzedaży nieopłaconej pracy, na której opiera się zysk. Czyniąc z samej ludzkiej siły roboczej towar, reifikuje on osoby, a zarazem personifikuje rzeczy: Jego Wysokość Kapitał ma „dawać sile roboczej pracę”, gdy tymczasem to pracownik najemny zmuszony jest bezpłatnie dawać pracę kapitaliście... Nowym jednak i siejącym coraz większe spustoszenie faktem jest to, że nic, co ludzkie, nie wymyka się obecnie spod dyktatu finansjery: wszystko ma bezlitośnie przynosić dwucyfrowy zysk, na częściach zamiennych, handlu online, innowacjach farmaceutycznych poczynając, a na łóżkach szpitalnych, pomocach szkolnych i transferze gwiazd sportowych kończąc... Oznacza to doprowadzone do okrucieństwa zarządzanie przedsiębiorstwami: zanieczyszczenie miejsca pracy jest nie mniej dramatyczne niż zanieczyszczenie wody. Oznacza to również powszechną finansjeryzację działalności usługowej, która kształtuje i rozwija osoby – ochrony zdrowia, sportu, edukacji, badań, twórczości, rozrywki, informacji, komunikacji... Świadczy to niezbitcie, że zmierzamy do takiego świata, w jakim decydującym bogactwem będzie istota ludzka. Kapitalizm wdziera się tu, aby sprawić, że będzie ona takim decydującym bogactwem zgodnie z jego logiką. W rezultacie cele właściwe dla tej działalności ulegają wyparciu przez prawo pieniądza. Reklama robi z takiego wspaniałego nośnika kultury i solidarności, jakim jest telewizja, zwykły środek sprzedaży reklamodawcom „czasu rozporządzalnego mózgu ludzkiego”. Chodzi o takie kształtowanie osób, które spełniałoby wymogi wzrostu stopy zysku. Czy zniesiemy taką zbrodnię?

To szaleństwo towarowe pociąga za sobą inną tendencję, która sama w sobie jest zabójcza: narastającą dewaluację wszelkich wartości. Kant wprowadził zasadę, zgodnie z którą uznanie godności istoty ludzkiej to uznanie jej „bezcenności”, a

ocenianie wszystkiego przez pryzmat pieniądza to zaprowadzanie powszechnej niegodziwości. Tak samo, jak w sferze moralnej, jest w sferze poznawczej, estetycznej, prawnej: bez wartości, które są warte „same przez się i bez zastrzeżeń”, nie ma już cywilizowanej ludzkości. Tymczasem dziś przeżywamy codzienny dramat, który polega na tym, że nieustannie depcze się troskę o prawdę, sprawiedliwość, godność... Dyktatura rentowności skazuje na śmierć to wszystko, co bezcenne, bezinteresowne, bezpłatne. Stoimy u tragicznego progu świata, w którym istota ludzka nic już nie jest warta. Świadczy o tym rozprzestrzenianie się zjawiska polegającego na istnieniu ludzi „bez” – bez papierów, bez pracy, bez dachu nad głową, bez przyszłości. Aimé Césaire nazwał to „fabrykacją ludzi do wyrzucenia po zużyciu”. Obok nich panoszą się ci, którzy „warci są góry złota” – niezwykle wygórowanych wynagrodzeń, bajecznych odpraw, kawioru dla psów... – i co w sumie sprowadza się do tego samego: zniesienia wszelkiej skali wartości. W rezultacie okazuje się, że jedyna „wartość”, która szczyci się, że jest miarą wszystkich innych i staje się odniesieniem dla siebie samej, jest bezwartościowa. Finansjera najpierw pęcznieje nieustannie od wirtualnych zer, a następnie miliardami wyparowuje, gdy pękają bańki, a wytwórcom rzeczywistości pozostaje uporać się z twardymi realiami. Czy ta likwidacja wartości jest mniej groźna niż topnienie lodowców? Stawką jest tu sama ludzkość: czy zdajemy sobie sprawę z tego przerażającego faktu?

Pod tą inwolucją kryje się trzecie spośród największych zagrożeń: niekontrolowane zanikanie sensu. Jest to nowe zjawisko, ponieważ przez długi czas kapitalizm miał sens: był eksploatorski, ale zapewniał postęp ludzkości. Wraz jednak z usytuowaniem się na jego szczycie finansjery – skrajnie zdehumanizowanej formy bogactwa – wkraczamy w epokę powszechnego nonsensu: akumulacja kapitału coraz bardziej staje się nieskończona w dwojakim znaczeniu tego słowa. To, co przeżywamy, to historyczne bankructwo klasy, która dziś spekuluje bez cywilizowanego celu, starając się skazać nas na

taki „koniec historii”. Śmierć sensu wszędzie sieje dzika zasada krótkookresowego zwrotu z inwestycji, której nie może przyświecać żaden ludzki projekt. Oto dlaczego globalizacja realizowana przez finansjerę oznacza nadejście w konwulsjach „nieświata”, w którym wszystko zalewa absurd, do spółki z jego współnikiem – fanatyzmem religijnym. Ta krótkowzroczność strukturalna pogłębia się dokładnie wtedy, gdy gigantyczne moce, którymi zaczyna dysponować rodzaj ludzki, pod groźbą kary śmierci wymagają dociekań nad przyszłością. Nasze wytwory materialne i duchowe, wymykając się zbiorowej kontroli w sytuacji, w której prywatyzacja wszystkiego wtrąca nas w odmęty bajecznego niedoboru demokracji, stają się ślepyimi, zniewalającymi i dławiącymi nas siłami – jest to bezgraniczna alienacja, której nie podoła nawet taka potęga jak G8. Stąd bierze się poczucie, że pozbawiona pilota ludzkość zderza się niechybnie z murem – murem ekologicznym, a zarazem antropologicznym. Jeśli rodzaj ludzki zacznie wyrodnieć, niepewny będzie nawet los samego Homo sapiens. Zaczynamy staczać się w przyspieszonym tempie po stromym zboczu najgorszego – ale czy naprawdę słyszać, że ktoś z tego powodu krzyczy?

Utowarowienie tego, co ludzkie, dewaluacja wartości, zanik sensu – spójrzmy prawdzie w oczy: oto świat się odcywilizowuje. Nie chodzi o to, aby upiększać dwa ubiegłe stulecia, z ich horrorami społecznymi i ludobójstwami. Wraz jednak z totalnym zwycięstwem „wolnej przedsiębiorczości” w końcu minionego stulecia ogłoszono, że ostatecznie nadeszło królestwo spokojnej demokracji. Tymczasem zmierzamy w odwrotnym kierunku – szerzą się dyktatury przemocy, z których jedną z najgorszych jest przemoc soft. Toczą się krwawe wojny – dochodzi do czystek etnicznych, zbrojnych grabieży krajów ubogich, pomysłowość terrorystów staje się mordercza, legalizuje się tortury, kroniki kryminalne szokują zdziczeniem – pewien filozof nazwał to wszystko „barbarzyństwem zglobalizowanego nieświata”. [2] Do tego dochodzą jednak „czyste” akty przemocy – konkurencja na śmierć i życie między

przedsiębiorstwami, panoszenie się zwolnień grupowych pociągających za sobą wzrost notowań na giełdzie, wymyślna, wzorowana na metodach policyjnych kontrola przedsiębiorstwa i miasta – także symboliczne, nasiąkanie, kropla za kroplą, wszelkimi możliwymi fobiami wobec innych, dekulturacja obywatelska spowodowana panującym cynizmem... Kiedy tylu mężczyzn i tyle kobiet nie ma już pojęcia, jak urządzony jest świat i jakie miejsce oni sami w nim zajmują, grozi rozpad świadomości klasowej, a jest to katastrofalny regres umysłowy. Nigdy nie należy zapominać, że nazizm zakorzenił się zastępując myśl marksistowską z właściwym jej pojęciem klasy hasłem „ein Volk, ein Reich, ein Führer” [3] – ideologią rzekomo bezklasowego „człowieka”.

Do tych czterech głównych cech dochodzi piąta, która podnosi zagrożenie do kwadratu: systematyczny zakaz alternatyw. Zakaz ten jest rozmyślny: klasa czerpiąca profity poczuła ongiś powiew rewolucji i czyni wszystko, co w jej mocy, aby raz na zawsze zapobiec nawrotowi takiego niebezpieczeństwa – proszę przyjrzeć się, jak media traktują tych, którzy sytuują się „na lewo od lewicy”. Przede wszystkim jednak mamy do czynienia z żywiołowym zakazem, który jest dziełem samej logiki systemu. Marks uważał, że ponieważ wraz z przyrostem kapitału rosną masy proletariuszy, kapitał tworzy swoich własnych grabarzy. Dziś to przejaw dość zuchwałego optymizmu historycznego: rewolucja w sferze produkcji atomizuje pracowników najemnych, podejmowanie decyzji finansowych w sanktuariach ich rozbraja, waga tego, co wydaje się nieubłagane, demoralizuje: okazuje się, że ogromne dążenie do zmiany wszystkiego niczym nie skutkuje. Wszędzie szerzy się poczucie niemocy – kłamstwa polityki instytucjonalnej przede wszystkim zasilają absencję wyborczą. Szaleńcza pogoń za rentoiznością przekonuje nas, że nieuchronne jest najgorsze. Sam system, którego słowem kluczowym jest wolność, za dewizę przyjął hasło TINA Margaret Thatcher: „There is no alternative!” Faktycznie – jak uwolnić się od wszechmocy rynków finansowych i agencji ratingowych, jeśli kolosalny kryzys 2008 r. nie doprowadził do żadnych

istotnych zmian w systemie? Czy obecny klimat przypominający koniec imperium rzymskiego, ale w epoce broni jądrowej i Internetu, nie ma przedsmaku końcowej katastrofy?

Należy zadać sobie pytanie: jeśli niebezpieczeństwo jest tak poważne, jak tu powiedziano, to dlaczego eksponuje się je o wiele mniej niż niebezpieczeństwo ekologiczne? Udzielając odpowiedzi na to pytanie, ograniczam się do kluczowego spostrzeżenia. Stawiając kwestię antropologiczną, inkryminuje się bezpośrednio strukturalne udręczenie czynnika ludzkiego przez kapitalizm, co, rzecz jasna, nie sprzyja jej popularyzacji. Myśl ekologiczna wpisuje się w inną kulturę, nastawioną nie tyle na krytykę niehumanitarnego sposobu produkcji, ile na krytykę szkodliwych sposobów konsumpcji, nie tyle na krytykę tyranii stopy zysku, ile na krytykę inwazji technonauki, nie tyle na krytykę interesów klasowych, ile na nieodpowiedzialność społeczeństwa. Może więc skłaniać do cnotliwej reformy, a nie do rewolucji w stosunkach produkcji. Tak zredukowana ekologia nie jest niebezpieczna dla indeksu akcji CAC 40. Można robić z nią nawet dobre interesy i operacje polityczne: „zielona myśl” staje się ekumeniczna... Tymczasem prawda jest taka, że tak samo, jak dramat antropologiczny, dramat ekologiczny wynika ze śmiertelnej zasady pogoni za maksymalnym zyskiem w jak najkrótszym czasie. Obie sprawy – ekologiczna i antropologiczna – są nierozdzielalne: nie rozwiąże się jednej bez drugiej, nie uratuje się środowiska, nie ratując rodzaju ludzkiego, a ekologia, która nie godzi zdecydowanie w system zysku, nie ma przyszłości. W tym sęk – i dwuznaczność „lewicowej ekologii”.

Tak opisana, obecna sytuacja rodzaju ludzkiego maluje się w bardzo czarnych barwach. Czy nie jest to co najmniej jednostronne? Czy nie należy widzieć również kształtowania się obiektywnych przesłanek subiektywnych inicjatyw na rzecz przezwyciężenia kapitalizmu, które stało się nieodzowne? Niewątpliwie należy. [4] Wiele rzeczy stwarza wrażenie „nieuchronności tego, co najgorsze”, ale nie należy przed nimi

ustępować. Można zacząć odwracać tendencję. Aby osiągnąć jednak sukces, trzeba spełnić pewien wymóg: uświadomić sobie w całej pełni, na czym polega stojące przed nami zadanie. Polega ono, ni mniej, ni więcej, tylko na budowie sprawy antropologicznej na równi ze sprawą ekologiczną. Inicjatywa wyjdzie jej budowie na spotkanie. U oburzonych w Europie i protestujących przeciwko Wall Street obywateli amerykańskich frapuje ładunek etyczny wyrażanego oburzenia, co wyraźnie współdźwięczny z etycznym wymiarem spraw cywilizacyjnych, których trzeba bronić. Polityką wstrząsa coś głębokiego. Powiedzmy w stylu Jeana Jaurès, że nieco oburzenia oddala od polityki, natomiast dużo oburzenia do niej prowadzi, a raczej powinno doprowadzić do nowego rodzaju działania – nie do rewolucji w dawnym stylu, polegającej na odgórnych przeobrażeniach, gdyż jej fiasko jest bezsporne. Chodzi o to, aby przystąpić do zbiorowych zawłaszczeń pod postacią nowatorskich inicjatyw i w nowatorskich formach organizacyjnych – pora jest na inwencje. Jest to cena, za którą będzie można podjąć działania pozwalające zadać kłam nieuchronności najgorszego. Dziś trzeba zacząć ratowanie rodzaju ludzkiego, kojarząc najbardziej realistyczną świadomość tego, co możliwe, z najambitniejszą wizją tego, co konieczne.

Trudno byłoby o lepsze zakończenie tego artykułu niż to, co w maju 1843 r. Marks napisał do Rudego: „Nie powie Pan chyba, że jestem zbyt dobrego zdania o obecnych czasach; jeśli jednak nie wpadam w rozpacz z ich powodu, to jedynie dlatego, że napawa mnie nadzieją właśnie obecne rozpaczliwe położenie.”
[5]

Autor: Lucien Sève

Tłumaczenie: Zbigniew Marcin Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

PRZYPISY

[1] Zob. M. Pez , Ils ne mouraient pas tous mais tous  taient

frappés, Paryż, Pearson 2008; Y. Clot, Le travail à cœur, Paryż, La Découverte 2010.

[2] A. Tosel, Scénarios de la mondialisation culturelle t. 2: Civilisations, cultures, conflits, Paryż, Kimé 2011, s. 139, i cały znakomity rozdz. 4.

[3] Zob. analizę myśli Heideggera w L. Sève, Penser avec Marx aujourd'hui t. 2: L'homme?, Paryż, La Dispute 2008, s. 276-292.

[4] Zob. J. Sève, Un futur présent, l'après-capitalisme, Paryż, La Dispute 2006.

[5] [K. Marks], [„Listy z 'Deutsch-Französische Jahrbücher'”], w: K. Marks, F. Engels, Dzieła t. 1, Warszawa, Książka i Wiedza 1962, s. 415.